

Kora – kobieta fascynująca, a nawet więcej: kobiecość sama, kobiecość wolna, nieokiełznana i ekspresyjna. A więc: Kora pisze o sobie, dziecku w sobie, kobiecie w sobie, o życiu kobiety i o facetach oraz o sprawach naprawdę ważnych. Pisze również o sprawach mniej ważnych. Bo któż zna kryteria tego, co naprawdę w życiu ważne?

Ta książka to krótka biografia, zapis pewnego etapu intymno-publicznego życia, ale przede wszystkim opis istotnych warstw naszej rodzimej kultury. To jeden z kluczy do jej zrozumienia, równie niezbędny jak „Wesele” Wyspiańskiego czy „Ferdydurke” Gombrowicza. To również klucz do zrozumienia fenomenu samej Kory.

A kto nie przeczyta, ten trąba!

Magdalena Środa

MBP Cieszanów
Kora, Kora : a planety s...



0000027638

Wydawnictwo
Agora

Kora Kora

Kamil Sipowicz

Kora

A PLANETY SZALEJĄ

Kamil Sipowicz





Mama, Tato, w wózku brat Andrzej Ostrowski

ROZDZIAŁ DRUGI:

Byłam numerem osiem

„Nie wiem, kiedy odleciały Czarne Ptaki mojego dzieciństwa
Świat swój zamykam do drżącego powietrza, żabiego skrzeku
I śliskich kamieni”

Czarne Ptaki mojego dzieciństwa

Jako mała dziewczynka dwa razy umarłam i zmartwychwstałam. Do dziś tego nie rozumiem. Było to podczas wakacji. Bawiłam się plasteliną – uwielbiałam to robić – lepiłam śmieszne ludziki, zwierzątka. I zjadłam tę plastelinę, a ponieważ dorośli mi mówili, że jak się plastelinę je, to się umiera, położyłam się na murku i umarłam. A potem zmartwychwstałam.

Dzieci mają ogromną wyobraźnię i zupełnie inne poczucie czasu i przestrzeni. Nie są jednak w stanie tego wyartykułować i nie odczuwają pewnie wcale takiej potrzeby, bo wydaje im się, że wszyscy odczuwają tak samo jak one. Z wiekiem te nastroje się upraszczają, wkracza z buciorem rozum, wyrachowanie, wola, chęć przypodobania się i inne świństwa. Myślę, że dojrzewanie, oprócz towarzyszących mu objawów fizjologicznych, dlatego jest tak dramatyczne, że jest utratą pierwotnego cudownego zauroczenia światem. Dojrzewanie jest utratą raju. Dzieci są w stanie skoncentrować się na cudowności świata, przyrody, życia. Postrzegają, odczuwają, przepuszczają to wszystko

przez siebie i oddają z powrotem światu. Niewiele zatrzymują. Dorosli potrafią bardzo łatwo tę dziecięcą wrażliwość stępić.

Byłam wrażliwym dzieckiem. Mieszkałam w domu dziecka. Nie było telewizji, słuchałam radia, fascynowało mnie życie, które było wokół mnie, pode mną – dostrzegałam najmniejszego robaczka – i nade mną: chmury, słońce, wiatr. Czytałam mnóstwo bajek, i to jeszcze bardziej ożywiało świat. Pamiętam, że jak wchodziłam do lasu, gdy przekraczałyśmy cudowny strumień z kamieniami, zarośnięty łopuchami i łopionami, to wydawało mi się, że trzeba bardzo delikatnie stapać, bo tam mieszkają krasnoludki. Zaglądałam delikatnie pod muchomory, aby nie spłoszyć krasnoludka.

Dzisiaj bardzo wyraźnie odczuwam u ludzi brak duchowości. Nie kształci się w dzieciach wyobraźni. A człowiek pozbawiony wyobraźni pożąda coraz więcej rzeczy materialnych, które pieczą oczy i stwarzają pozorne poczucie bezpieczeństwa. To jak nekrofilia: ukochanie martwej materii. Nie kochamy jednak tego, co już mamy, tylko to, co chcemy mieć. Szczęście jest niemożliwe, a napięcie ciągle. I niecierpliwość. „Człowiek współczesny rości sobie prawo do trzeźwego myślenia, ale to trzeźwe myślenie prowadzi nas krętymi korytarzami koszmaru rozumu...”

Życie dziecka jest bardzo zbliżone do śnienia. Pewne rzeczy, które są niemożliwe z racjonalnego punktu widzenia, w dzieciństwie się zdarzają. Dlatego że tak przeżywa to dziecko.

Być może nie umarłam na murku po zjedzeniu plasteliny, ale byłam przekonana, że nie żyję. Później – jeszcze jako dziecko – odbierałam sobie kilkakrotnie życie. Już całkiem świadomie nie chciałam żyć.

Jako mała dziewczynka żyłam w nędzy. Mieszkałam w suterenie z chorą matką i braćmi pijącymi alkohol.

Mój ojciec pochodził z bardzo licznej bogatej rodziny. Dziś domyślam się, że był maminsynkiem – piękny chłopiec faworyzowany i kochany przez kobiety. Nie był przygotowany do życia w trudzie. W ogóle nie był przygotowany do życia – ani w pierwszym małżeństwie, z którego miał trzy córki, ani później z nami. Cały ciężar pracy, utrzymania i prowadzenia domu spoczął na mojej matce. Ale zachorowała na gruźlicę. Trzeba było podjąć decyzję, co zrobić z piątką dzieci. Z ojcem został najstarszy, szesnastoletni brat. Był naturalnie najbardziej samodzielny i matka uznała pewnie, że jakoś sobie poradzi. A my – pozostała czwórka – zostaliśmy rozrzućeni. Ja miałam wówczas cztery lata i ze starszą siostrą trafiłam do Caritasu, czyli domu dziecka prowadzonego przez zakonnice w Jordanowie w klasztorze sióstr Prezentek, a dwaj moi starsi

bracia zostali umieszczeni w państwowym domu dziecka gdzieś pod Pilicą. Dziś zostaliśmy tylko w trójkę. Ja, moja o siedem lat starsza siostra i jeden z tych braci. On bardzo ciężko wspomina czas spędzony w domu dziecka, w ogóle do tego nie wraca. My z siostrą wciąż o tym mówimy.

Spędziłyśmy w domu dziecka pięć lat. Prowadziły go zakonnice, które psychicznie i fizycznie znęcały się nad dziećmi. Zostałyśmy umieszczone w różnych grupach, zakonnice nie pozwalały nam na kontakty. Cały czas się bałam. Bałam się być sobą, bałam się domagać swoich praw. Bałam się zaprotestować przeciwko wielu niedobrym rzeczom, które się działy. Właściwie jedyną opoką była moja siostra. Wprawdzie nie dużo starsza, bo o siedem lat, dla mnie była jednak jak matka i to zostało mi do dzisiaj. Wtedy wydawało mi się, że to jedyna osoba na świecie, do której mogę się zwrócić ze swoimi kłopotami, a tak naprawdę ona przecież też niewiele mogła pomóc. Miała przecież tylko jedenaście lat... Przypominam sobie także taki obrazek: moja siostra miała mi przyszyć coś przy płaszczu, chyba dragonik, a zakonnica złośliwie nie dopuszczała jej do mnie. W ogóle nie mogliśmy się widywać, tak jakby to nie była moja rodzina. Udało nam się spotkać raz czy dwa razy, bo wpadłam w jakąś całkiem niedziecięcą furję, zdemolowałam dużą salę z metalowymi łóżkami, w której mnie umieszczono, i zrobiłam z tych łóżek piramidę. Wyciągali mnie spod sterty tych rozwalonych łóżek i materacy. Bardzo za siostrą tęskniłam, w mojej grupie nie miałam żadnej bratniej duszy. Mama nas nie odwiedzała, była w sanatorium zamkniętym. Po pewnym czasie, kiedy mama, jeszcze bardzo słaba, wróciła do domu, przyjeżdżałyśmy do niej na święta i wakacje. Nigdy nie prosiłam jej, żeby zabrała mnie z domu dziecka. Nie skarżyłam się. Wiedziałam, że muszę tam być. Po prostu. I tyle.

W domu dziecka byłam bardzo samotna i nieszczęśliwa. Ale były też momenty, kiedy czułam się dobrze. Zachorowałam, zostałam umieszczona w izolatce i zakonnica przyniosła mi książki, żebym sobie oglądała obrazki. Ale, nie wiadomo skąd, ja umiałam czytać. I to mnie uratowało od kompletnego załamania. Zakonnice na początku nie mogły uwierzyć, że potrafię czytać. Dopiero jak opowiedziałam im bajkę, pozwoliły mi, pięcioletniej dziewczynce, korzystać z biblioteki. Moja pierwsza książka to „O krasnoludkach i sierotce Marysi”, potem „Na jagody”. Pamiętam je doskonale. Czytałam wszystkie baśnie Andersena. Po kilka razy. Za każdym razem było to dla mnie przeżycie. Potem czytałam też w nocy, przy świetle gwiazd i księżycy. Jak mnie zakonnice przyłapały, była kara.

Jak nie miałam dostępu do książek, byłam potwornie nieszczęśliwa. Siostry twierdziły, że niszcę obwoluty. Książki do dzisiaj są moją największą miłością, uzależnieniem. Ja muszę czytać. Gdy mieszkałam kilka miesięcy u wujka, czytałam to, co było w jego bibliotece – jakieś dziwne romansidła w rodzaju „Krystyny”. W szkole podstawowej pozytywistów, Sienkiewicza, całego Iwaszkiewicza, ale także literaturę amerykańską, francuską. Na lektury szkolne nie starczało mi czasu ani ochoty.

W Jordanowie lubiłam też spacerować. Łąki, las i strumyki. Do dzisiaj jestem przekonana, że widziałam wtedy krasnoludki! Od jednej siostry dostałam sweterek, czerwony, wydziergany. To był taki cywilny sweterek, bardzo prywatny, intymny. Koło naszego domu dziecka rozbijało się czasem wesołe miasteczko. To też była frajda. Te chwile pomagały mi przeżyć, kiedy zbliżał się koszmar nocny. Wieczorem siostry rozdzierały nam kary, a potem noc, i moczenie nocne. Jak się zmoczyłam, to przez kilka godzin musiałam trzymać prześcieradło w górze, siostra przychodziła z latarką, brutalnie wyrzucała z łóżka i zapędzała do prania. W nocy. I jakieś dziwne zdarzenia, które dzisiaj rozumiem, ale wtedy wydawały mi się czymś niezrozumiałym, na pograniczu thrilleru i horroru. Bałam się iść do łazienki, bo coś strasznego mnie w tej łazience spotkało.

Dziś wydaje mi się, jakby to była scena z filmu Buñuela, jak ze złego snu. Wstałam w nocy, bo chciało mi się sikać. Nasza sypialnia miała dużo łóżek i wychodziło się na wielki korytarz. Po prawej były szatnie i przez nie przechodziło się do ubikacji, po lewej łazienka, do której chodziłam w nocy pracować zasikane prześcieradła. Przeszłam w tych strasznych ciemnościach do ubikacji.

Bałam się, bo my ciągle byliśmy faszerowane przez zakonnice bajkami o duchach, kulistych piorunach, nietoperzach. No i ten tajemniczy ogród za oknem. Noc zawsze łączyła się ze strachem. Musiałam jednak przebrnąć przez ten strach, bo zsikanie się do łóżka było jeszcze gorsze. Wchodzę do ubikacji i słyszę jakieś dziwne głosy, rodzaj takiego dziwnego jęku i przeraźliwy szept: „Uciekaj, uciekaj”. Zostałam zupełnie sparaliżowana, nawet teraz mnie ciarki przechodzą. Nigdy jako dziecko nie doszłam, co to było, ale pozostało to bardzo głęboko w mojej pamięci. Usiłowałam potem sobie zrekonstruować, co to mogło być, i pewna jestem, że oczywiście nie było to żadne z dzieci. Prawdopodobnie zakonnica w negliżu, przecież nie spały w tych pierdolonych kornetach, w tych kwadratach na głowie, krochmalonych na sztywno, drewnianych. Musiały się przecież też rozbierać. Jedna z nich spała za parawanem w naszej sali

i pilnowała. Za przepierzenie nie można było, broń Boże, zajrzeć. Toż to była kara śmierci, żeby tam zajrzeć, za parawan. I pewnie była goła, a nie chciała, żebym ją zobaczyła. To tak jak larwa, która pozbywa się swojego pancerza, albo jak czarownica, która pozbywa się dziesięciu peruk, które ją przyozdabiają. Widocznie ona usłyszała, że któraś z nas się zbliża, i przestraszyła się. Wtedy też oczywiście nie mogłam się wysikać.

Potem wydawało mi się, że w łazience straszy. Wstrzymywałam, śniło mi się, że sikam do kontaktu, że nie będzie widać, że nasikałam, że nic się nie stanie, i znów sikałam do łóżka. Nerwica. Wspominam to jak najgorszy horror.

Tam panowała taka wojskowa hierarchia – były zakonnice z bogatych domów, piękne i wykształcone, potem te z prostych rodzin, a najniżej my, dzieci. Zakonnice miały precyzyjny podział zajęć. Jedna była od kuchni, jedna od magła, od prania, gotowania, nauczania, od ogrodu, od świń, od krów. Była to właściwie samowystarczalna społeczność. Każda dziewczynka miała zakonnice, która się nią opiekowała. Ja miałam siostrę Martę, szefową kuchni. Wszystkie zakonnice wiedziały, jakie jest ich miejsce, i dbały o czystość, co jednak nie zmienia faktu, że wszystkie miałyśmy wszawicę; higiena w tamtych czasach nie stała na zbyt wysokim poziomie. Była, co prawda, ciepła woda, ale dziewczynki myły się raz na tydzień i wystarczyło, że jedna miała wszy, byśmy wkrótce wszystkie były zawszone.

Zakonnice były dla nas w patologiczny sposób okrutne. Biły, wykręcały uszy, kazały – jak w bajce – klęczeć na grochu, znęcały się psychicznie. Miałam tak powykręcane, naderwane uszy, że dosłownie zwisały mi z głowy. Pod koniec tygodnia gromadziły nas wszystkie i było publiczne pokazywanie rajstop. Miały być białe, ale przecież po tygodniu używania nie mogły być białe! I kara. Jeśli same nas nie biły, to starsze dziecko miało bić młodsze. Nie miałyśmy imion. Nikt nie wołał na mnie: Oleńko albo Gwiazdeczko, jak nazywała mnie mama. Byłam numerem osiem.

Bo były dwie mateczki. Jedna – dzisiaj z siostrą twierdzimy, że ona była miła – duża kobieta, taka powiedzmy sobie Matka Boska. A druga była jej przeciwieństwem, diabłem wcielonym. Wiktoria. Lesbijka, jak się potem okazało. To była bardzo ostra sucz. Na całe szczęście nie interesowała się takimi małymi dziećmi jak ja. Ona interesowała się moją siostrą, która była nadzwyczaj atrakcyjna jako młoda dziewczyna.

Kościół był blisko, pamiętam. Przechodziło się tylko przez plac, zawsze grupą szło się do kościoła. Bardzo lubiłam procesje majowe. Miałyśmy

koszyczki, jakieś stroje odświętne, wianki. Pamiętam ten koszyczek i „Święty, święty, święty Pan, Bóg zastępów, pełne są niebiosa i ziemia chwały Twojej”. I oczywiście jeszcze jasełka. Trzeba było się nauczyć roli. Na początku podawałam ręcznik i gwoździe. Pilatowi ręcznik. Gwoździe przynosiłam przez scenę. Nieprawdopodobnie byłam przejęta, czy czegoś nie zepsuję. No i byłam mówiącą wierszyki.

Bardzo bałam się na przykład Świętego Mikołaja. Przerazał mnie, jak wszystko, co przebrane, w masce, zakryte, niejasne. Zakonnice nie mogły tego zrozumieć – jak można bać się kogoś, kto przychodzi z prezentami?! Gdybyśmy to, o czym opowiadam, oglądali w kinie czy teatrze, to powiedzielibyśmy: Boże, jak to możliwe?! Ale kiedy jest się w środku tego wszystkiego, kiedy jest to jedyna dana nam rzeczywistość, to patrzy się na to inaczej. Bez zdziwienia. Nigdy nie przyszło mi do głowy, żeby stamtąd uciec.

Nienawidziłam tego miejsca, ale z drugiej strony, ponieważ byłam bardzo mała, nie pamiętałam domu rodzinnego ani matki, ojca – przeniesienie dziecka do takiej rzeczywistości sprawia, że wydaje mu się, iż rzeczywistość jest właśnie taka a nie inna, że Jordanów to miejsce normalne. Przez to tęskniłam bardzo, ale nie wiedziałam, za czym: czy za domem, czy za matką, czy za jakąś czułością, intymnością, za tym, żeby być sama?

Wszystko tam było wielką tajemnicą i ciągłym zastraszaniem. Mam wrażenie, że cały czas byłam w kościele albo na lekcji religii. Zdarzało się, że w czasie świąt chodziliśmy do kościoła po pięć razy dziennie. Wszystko to było jednak bardzo mechaniczne, zero wiary. Zakonnice ciągle pytały nas: kim zostaniesz? Na to, broń Boże, nie można było odpowiedzieć inaczej jak: zakonnica. Często nas też pytały, czy miałyśmy już objawienie. Też trzeba było odpowiadać, że miałyśmy. Wiedziałyśmy, czego się od nas oczekuje. Bóg objawiał nam się bez przerwy.

Siostry były szczególnie czujne, jeśli chodziło o sprawy seksu – kontrolowały, czy dziewczynki się nie onanizują. Gdy się leżało, trzeba było mieć ręce skrzyżowane jak do modlitwy. Zakonnice w nocy sprawdzały, co dziewczynki robią: gwałtowne zrzucanie koldry, latarka w oczy.

Biły nas różańcami zrobionymi ze specjalnie poskręcanych grubych białych sznurów, którymi się opasywały. Ustawicznie nas upokarzały, a kary cielesne były potworne, na przykład mazanie dziecka kałem za to, że zrobiło w majtki. Pamiętam, jak na moich oczach zakonnica nacieła dziewczynkę, która zrobiła w majtki, tą kupą za pomocą ryżowej

szczotki do szorowania podłóg. Stała ta maleńka dziewczynka bardzo wystraszona, a ona ją od stóp do głów smarowała.

Dreńczyły nas psychicznie. Dostałam w szkole zadanie arytmetyczne: ile to jest cztery razy cztery. Tabliczkę mnożenia znalazłam świetnie i w ogóle bardzo dobrze się uczyłam. Nie mogłam zrozumieć, dlaczego zakonnica mówiła mi, że to wcale nie jest szesnaście. Byłam z tego powodu potwornie zestresowana, próbowałam liczyć na wszystkie sposoby i zawsze wychodziło mi szesnaście. Ona zaś uporczywie powtarzała, że cztery razy cztery nie równa się szesnaście.

Miałyśmy wielką, stałą potrzebę zwracania na siebie uwagi, przez co byłyśmy w ciągłym napięciu i zawsze niespokojne. Taka cecha zostaje na całe życie. Człowiekowi się wydaje, że jest niewidziany, niedostrzegany, że nikt go nie kocha, nikt nie chce. Ogromna potrzeba czułości zostaje potem na całe życie. Człowiek nie jest w stanie skoncentrować się na jednej osobie, ciągle wydaje mu się, że to właśnie nie ta, ale inna.

Obowiązywał nas ścisły zakaz przekraczania klauzury. Klauzura to było takie miejsce, gdzie mieszkaly zakonnice i gdzie drzwi były cały czas zamknięte. Gdy miało się jakąś sprawę do zakonnicy, trzeba było pukać albo wołać po imieniu. Wszystko było naprężone, żadnej radości czy śmiechu. One naprężone w tych kornetach, my naprężone, omotane religią, strachem, wciąż unoszącą się nad nami wizją grzechu. Żadnej intymności. Zachowywałam się przez to jak automat. Do dziś nienawidzę wszelkich grup, wycieczek. Lubię być sama, nie znoszę dużej liczby osób, tak zwanego towarzystwa.

Mam wrażenie, że podczas mojego pobytu w Jordanowie cały czas tęskniłam. Ta tęsknota została do dzisiaj. Kiedy jestem z kimś długo i przestaję tęsknić, to robi się taka *flat line* – martwa linia. Dziecko, jeżeli permanentnie tęskni, to tęsknota tak głęboko wchodzi w jego mentalność i mózg, że bez niej nie jest w stanie nic się zadziać. Najpierw musisz tęsknić, żeby potem móc z kimś być. To tak, jakbyś cały czas był zanurzony w roztworze tęsknoty i nie wiesz już, czy jest ten roztwór, czy go nie ma. Pobyt w domu dziecka spowodował, że jestem osobą tęskniącą... To jest przecież piękne... Jak gdyby zło urodziło coś pięknego. Ale z drugiej strony nie jestem w stanie wytrzymać z drugim człowiekiem długo, nie mogę z nikim być bez przerwy. Ciągle stwarzam sytuacje, w których albo ja tęsknię, albo ktoś inny tęskni. Takie „tęskniące sytuacje”, czyli przybliżanie się i oddalanie. Nie potrafię być z drugim człowiekiem, na przykład z mężczyzną.

W pewnym momencie państwo odebrało Caritas, ten dom dziecka, Kościołowi i stanęła przede mną perspektywa państwowego domu dziecka. Mama zapytała mnie, czy chcę tam iść. Oczywiście, że nie chciałam. Miałam już na tyle rozumu, by zdawać sobie sprawę, że tam może być jeszcze gorzej. Wróciłam do domu. Kiedy miałam siedemnaście lat, dowiedziałam się, że te Prezentki prowadzą w Krakowie przy ulicy Świętego Jana szkołę. Miałam ochotę jakoś się na nich zemścić. Ale szybko mi to minęło. One też miały przecież skrzywione życiorysy. Też musiały być potwornie nieszczęśliwe i to swoje nieszczęście przelewały na dzieci, dlatego były takie okrutne.

Po latach jedna z zakonnic próbowała skontaktować się ze mną. Zadzwoniła do mojego sąsiada w Krakowie i chciała się ze mną spotkać. Nie chciałam. To była ta siostra, która dała mi sweterek.



Ojciec Marcin Ostrowski